

# W

W "Gorgiaszu" Platona jest scena, w której Sokrates rozmawia ze swoimi uczniami o tym, kto powinien rządzić w Atenach. Uczniowie twierdzą, że powinny to być osoby o świetnych umysłach, które potrafią kierować państwem, osoby dobrze wykształcone i obyte w świecie, które potrafią się zaprezentować przed swoimi własnymi obywatelami i zagranicą. Nie każdy ma zdolność do przewodzenia, a rząd powinien składać się z ludzi, którzy potrafią innymi ludźmi kierować.

Sokrates odpowiada: „Przywódca, zanim zacznie rządzić innymi i wydawać im polecenia, powinien kontrolować samego siebie, powinien nauczyć się umiarkowania, powściągnąć swoje namiętności i apetyty, pożądanie przyjemności i sławy”.

Odpowiedź Sokratesa dotyczy rzeczy fundamentalnych. Czy ci na wysokich stanowiskach nauczyli się rządzić samymi sobą? Często tak bywa, że ludzie ambitni i zdolni zabierają się do panowania nad innymi, bo skłania ich do tego żądza sukcesu, próżność i chęć zaistnienia w przestrzeni publicznej. Sokrates uważa takich ludzi za barbarzyńców. Ci, którzy aspirują do przewodzenia li tylko dla własnych ambicji, nie pokonali w sobie tych wszystkich namiętności, które chcą pokonać w innych – tchórzostwa i próżności, egoizmu, gniewu i chciwości. Chcą więc osiągnąć coś niemożliwego. Sokrates sugeruje, że najpierw trzeba samemu być praktykantem cnót – cierpliwym, uczciwym i niekiedy nawet pokornym, a dopiero później można zabrać się do rozkazywania innym. Bystrość umysłu to wstępny warunek zdolności na przywództwo.

Kluczowym warunkiem jest osobista moralność.

Słowa Sokratesa wzburzyły jego uczniów. Jak to, czyżby Sokrates sądził, że ludzie bez odpowiedniego przygotowania intelektualnego nadają się do rządzenia państwem? Ale Sokrates jest nieubłagany. Tak, powiada, przywódca powinien posiadać pewne cnoty, bez których będzie raczej niszczycielem cywilizacji ateńskiej niż jej obrońcą. W jaki sposób można osiągnąć te cnoty, pytają uczniowie. Długą i żmudną pracą, odpowiada Sokrates.

## Walijski trop, polski trakt

Rady Sokratesa wydają się bardzo istotne w chwili gdy Polacy, po raz który już w historii, zaczynają mówić o dysfunkcjonalności polskiego państwa. Raz jeszcze zaczynają się nawzajem oskarżać o niezdolność do prowadzenia polityki, nieudolność, zdrady, rzucanie kłód pod stopy rządzących, agonie instytucji państwowych. Brutalność Polaków wobec siebie samych (i spolegliwość wo-

bec nie-Polaków) wydają się nie mieć miary. Słyszysz się w tych dysputach sugestie, że może Polska nie powinna istnieć, że Polacy nie potrafią zorganizować sobie państwa, że lepiej byłoby być pod czyimś protektoratem (albo – że Polska już jest pod czyimś protektoratem), bo w Polsce jest bałagan, przekupstwo, polnische Wirtschaft i tak dalej. Słysząc, że z oszłomstwem nie sposób współpracować, trzeba je z Polski wypłenić. A przedwojenna Polska była zacofana, ksenofobiczna i niezdolna do samoobrony. Że to fantomowe ciało króla i tak dalej. Polska sama sobie winna jest, jak by powiedział Gombrowicz. Znow śpiewa ten sam chór, który poucza w podręcznikach szkolnych, że rozbiory były winą swawolnej szlachty, egoistycznych magnatów i zacofanego chłopstwa.

Przypomina to bicie się w piersi ofiary gwałtu: „sama byłam winna!” Albo to, co psychologowie nazywają syndromem sztokholmskim, czyli sympatię do tego, który nam czyni krzywdę, do zbrodniarza, który nas bije, porywa, więzi, szkaluje, uczy pogardy do siebie samych. To on ma rację, a nie ja, mówią ofiary tego syndromu. Bandyta wygrywa z poszkodowanym. Polacy winią przede wszystkim siebie nawzajem, a nie tych, dla których funkcjonowanie niezawisłego polskie-

zachowanie tożsamości niesłychaną cenę. Jest rzeczą fascynującą dla czego. Częścią tej fascynacji jest szacunek, że dokonali takiego wyboru. Znow ocieramy się tu o rzeczy fundamentalne. W każdej epoce historycznej ceniona jest odwaga i poświęcenie, wyjście człowieka ponad moralną przeciętność, zwyciężenie samego siebie. To, o czym mówi Sokrates. Podziwiamy Leonidasa, a nie Kserksesa.

Olbrzymi wysiłek przeszłości pozostawił po sobie znużenie. Polacy są zmęczeni, być może na parę pokoleń. Taka sytuacja sprzyja pleniению się syndromu sztokholmskiego i wzajemnemu oskarżaniu. Ale to samo lekarstwo, które leczy w ma-

kiem komunii zwracali się do swoich ofiar. Albo jeszcze innego rodzaju inwektywy. Czytając w Teksasie komentarze polskich internautów pod artykułami popularnych gazet, wciąż napotykam wpisy typu: „co zażywasz i gdzie to kupujesz?” lub „lecz się u psychiatry!”, „ty oszłomie!”, „ty lemingu!” I monotonne, sztubackie szyderstwo wymierzone w autorów wypowiedzi, z którymi internauci się nie zgadzają. Patrząc z daleka może się wydawać, że pół Polski wymaga leczenia psychiatrycznego.

Oskarżenia o umysłową niepełnosprawność czy zbydlęcenie, groźby i protekcyjno-agresywny ton wskazują, że ich autorzy rzadko albo nigdy nie czytali Platona. Sugerują one również, że tak jak uczniowie Sokratesa, interneci i inni opiniodawcy cenią rozum i bystrość umysłu, że chcieliby zastąpić zabobony i kretynizm czystym jak łaźnia rozsądkiem. Polskę należy oświecić i nauczyć myśleć prawidłowo, usunąć to zapóźnienie kulturowe, w którym się wciąż znajduje, wywindować ją przez odpowiednie wykształcenie na wyższy poziom cywilizacyjny.

Ale tu znow napotykamy przeszkody w postaci myślicieli, których ludzie progresywni na ogół szanują: na Fryderyka Nietzschego czy Zygmunta Freuda. Ci głoszą, że rozum jest jedynie zasłoną dla naszych pragnień i pożądań, a prawda leży w namiętnościach, a nie w rozsądku. Ludzie nie kierują się szlachetnym rozumem w ocenie wydarzeń i tylko udają rozsądnych, że w rzeczywistości kieruje nimi interes własny. A więc, gdy oburzamy się na jakiegoś oszłomka, oznacza to, że w gruncie rzeczy chcielibyśmy po prostu przywalić, bo stoi na drodze naszego samo-

Sokrates. Sama już odeszła, ale zostawiła te uczucia w prezencie swoim byłym poddanym. Leopold Tyrmand zwykł mawiać, że system sowiecki to doświadczenie egzystencjalne, którego nie sposób przekazać innym za pomocą słów. Miał rację. Nienawiść i strach. Pogarda i pycha. Nieufność wobec sąsiadów. Oto podłoże postsowieckiego rozdrażnienia i wzajemnego obrażania się, które panoszą się w postkolonialnej Polsce.

## Święta nienawiść

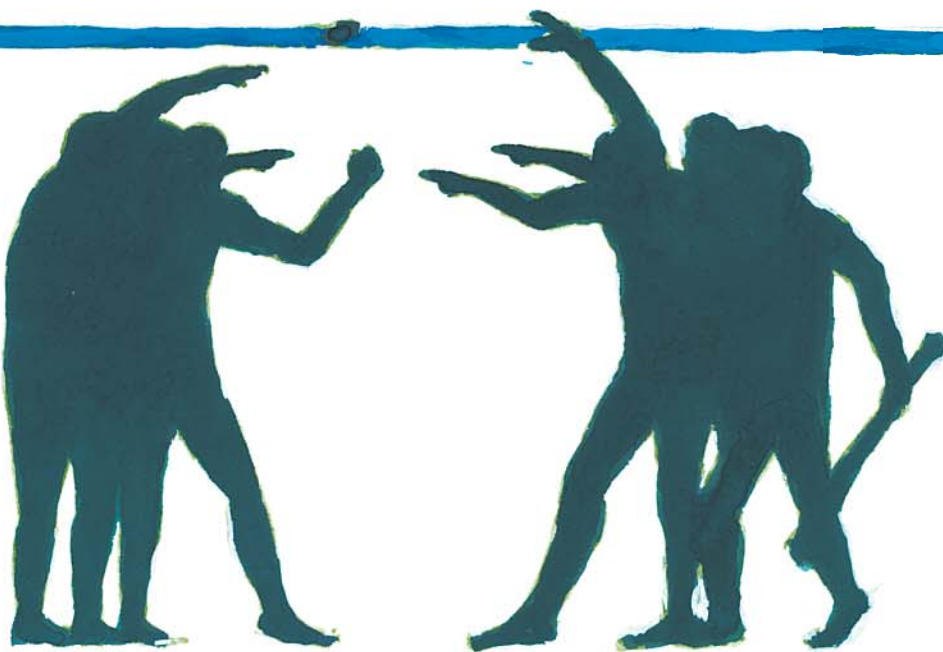
Takie są konsekwencje wbijania ludziom w głowy przez dwa pokolenia dogmatu o walce klasowej. Wrogów należało likwidować, czasem dosłownie jak Fieldorfa czy Pileckiego, bo byli wrogami, nie wolno ich było przyjmować na uniwersytety, nie wolno im było zajmować kierowniczych stanowisk. Te tysiące „znacjonalizowanych” dworców wiejskich, których właściciele otrzymali zakaz osiedlania się w odległości iluś tam dziesiątków kilometrów od swoich byłych siedzib – to było uderzenie w sam rdzeń stabilności polskiego społeczeństwa, pozbawionego miejskiej klasy średniej i wciąż w owych czasach rolniczego i wiejskiego. To było mistrzowskie podsycanie pasji, niszczenie autorytetów, przygotowywanie żyznej gleby dla postsowieckiego reżymentu. Naleganie, aby przyjąć za słusne to, co jest absurdalne, zrodziło powszechne poirytowanie i wzajemną wrogość. Gdy słyszysz wypowiedź typu „nie mogę żyć z (X lub Y) w jednym państwie”, widzę oznakę chronicznej choroby, którą komunizm zainfekował społeczeństwo i która prowadzi je w kierunku odwrotnym od polecanego przez Sokratesa. To wkrócenie z powrotem w świat Barbarii.

Wiele było narzędzi atomizacji, i niektóre z nich prawem kaduka pozostały w polskiej świadomości społecznej. Ile nieprawdopodobnej wprost słodyczy język polski mógłby nabrać, gdyby wiersze Tadeusza Gajcego przebyły normalną drogę od wydawcy do krytyków i czytelników, zamiast banowania ich przez władze komunistyczne. Ile prawdy o komunizmie weszłoby w polski krwiobieg, gdyby powieści Janusza Krasińskiego

go były drukowane w wielotysięcznych nakładach jako obowiązkowe szkolne lektury. Jak zmniejszyłyby się wtedy procent Polaków, których inni Polacy oskarżają o niesprawność umysłową. Upowszechnianie pewnych idei ma swoje konsekwencje.

26 września 1939 roku „Liternia Gazieta” opublikowała anonimowy artykuł pt. „Świataja nienawist”. Chodziło o nienawiść, z jaką należało niszczyć „pańską Polskę”. Autorzy tacy jak Margarita Aliger, Fiodor Gładkow, Mikołaj Asiejew, Samuil Marszak, Aleksander Twardowski (tak, ten sam Twardowski, który był obrońcą Solżenicyna i liberałem) i setki innych nawoływali do nienawiści w stosunku do „pańskiej Polski” w wierszach i artykułach, opowiadaniach i reportażach. Walczono szyderstwem i potwarzą. W komentarzach rysunkowych przedstawiano Polaków jako potwory, które należy usunąć z oblicza ziemi. Było to gigantyczne podzwonne i próba wykreślenia polskości raz na zawsze z historii.

To, że polskość przetrwała, powinno napawać zdumieniem, podziwem i wielką radością. Zamiast tego, w polskich dyskusjach publicznych Anno Domini 2012 słyszę ton, który dominował w „Prawdzie”. Adwersarza trzeba nienawidzić, mieszać z błotem, usunąć, wyrzucić



MIROSLAW OWCZAREK

go państwa i ciągłość polskiej kultury są co najmniej niewygodne.

Właściwszą chyba postawą jest podziw, że to państwo i ta narodowość istnieją, że w przeszłości Polacy czynili rzeczy wręcz nieprawdopodobne, aby polskość utrzymać. Narody takie jak Szkoci czy Walijczycy znikłyby z mapy Europy, bo w pewnym momencie dały za wygraną i przyjęły angielski język, religię, króla i historię. Polacy mogli zrobić podobnie. Nie zrobili, placąc za

tych dozach, jest niebezpieczne w dużych. Tymczasem wydaje się, że politycy i środki masowego przekazu wręcz zachęcają do megadoz.

Pewien polityk po osiemdziesiątce znany jest z określenia swoich przeciwników politycznych słowem, które wśród ludzi dwudziestolennych spowodowałoby bójkę. Inny polityk, zbliżający się do siedemdziesiątki, również celuje w nazewnictwie, rozpoczynającym mordobicie przy budce z piwem. Takim języ-

spełnienia się, bo nie bije nam pokłonów. Dostojewski świetnie to opisał w „Notatkach z podziemia”.

Komu więc mamy wierzyć? Leszek Kołakowski pisał o atomizacji polskiego społeczeństwa przez komunizm sugerując, że jest to być może najstraszliwsze dziedzictwo tego z piekła rodem ustroju. Bestia komunizmu żywiła się ludzkim gniewem, strachem, zawiścią i pychą, czyli tymi wszystkimi pasjami, których eliminację u rządzących państwem zalecał

# Nie wracajcie do Barbarii

EWA THOMPSON

Polacy zachowali tożsamość, płacąc za to niestychaną cenę. Ale ten olbrzymi wysiłek pozostawił po sobie znużenie, być może na parę pokoleń

z kraju, zastrzelić, dźgnąć nożem. A jak się nie da, to przynajmniej pogardliwie wyśmiać. Część polskich elit i mediów zapożyczyła język u agresorów. Zachowują się odwrotnie, niż zalecał Sokrates. Demonstrują wszem wobec, że brak im cnoty roztropności i umiarkowania, jak również szacunku dla rodaków (czy można sobie wyobrazić polskiego polityka czy dziennikarza, który by powiedział, że nie mógłby żyć w tym samym kraju z Angelą Merkel czy Vaclavem Klausem?).

## Pogarda dla współobywateli

Ludzie, którym tak ewidentnie brak szacunku do współobywateli, nie mogą cieszyć się autorytetem, nawet jeżeli doszli do władzy w sposób demokratyczny. Starożytni Grecy i chrześcijaństwo powtarzają nam do znudzenia, że nie mamy wyboru – bez pielęgnacji cnot nasz tak zwany rozsądek będzie nokautowany przez potężne fale próżności i pychy. W tej sprawie ludzkość niczego nowego nie odkryła od tysięcy lat. Słowa Sokrate-

sa mają dokładnie to samo znaczenie dziś co wtedy, tak jak prawo ciężenia. Aby nasze wybory i opinie były trafne, musimy wrócić do starych metod powstrzymywania swojego egocentryzmu, musimy przebyć drogę, wybraną w przeszłości przez tych, których dzisiaj podziwiamy. Musimy pielęgnować w sobie cechy, które osłabiają naszą skłonność do gardzenia innymi. Powolne kształtowanie charakteru przez odpowiednie lektury, branie przykładu z ludzi, którzy nam moralnie imponują. Aby podejmować słuszne decyzje i wyciągać z przesłanek właściwe wnioski, konieczna jest moralność, a nie tylko dobrze funkcjonujący umysł.

Chrześcijaństwo nazywa ludzkie pożądania skłonnością do zła. Jedynie stare i dobrze znane metody pracy nad sobą mogą umniejszyć w przywódcach, elitach i zwykłych śmiertelnikach próżność, zawiść, obarczanie innych odpowiedzialnością za to, co my sami powinniśmy byli zrobić. Dobrzy przywódcy potrafią powściągnąć swoją pychę, żli demonstrować ją publicznie. Jeżeli ktoś się ludzi, że tego rodzaju niskie pobudki nie leżą u podstaw wielu decyzji na wysokim szczeblu, mam dla niego ofertę sprzedaży mostu bru-

klińskiego... W sposób, który trudno trafnie nazwać, społeczeństwo wyczuwa jakość swoich elit, co z kolei przekłada się na traktowanie ich jak wrogów dzierżących władzę.

## Wygumkować Sienkiewicza

Nie brak w Polsce ludzi, którzy wzorem komunistycznych utopistów chcieliby wychować „nowego i postępowego Polaka” bez uczenia go o tym, co tak zwięźle i jasno wyraził Sokrates. W ich mniemaniu nie trzeba żadnego ćwiczenia się w cnotach, bo to jest masochizm odrzucony setki lat temu, przeżytek przeszłości, którego miejsce jest w lamusie. Wystarczy zdrowy rozum i posuwanie się naprzód wraz z nowymi odkryciami, wynalazkami, sformułowaniami, odrzucając starożytności, obyczajowe zabobony. Marksizm Gramsciego, a nie Stalina. Taką postawę chyba przyjęło polskie Ministerstwo Edukacji w 2009 roku, gdy zaproponowało, aby z programów szkolnych usunąć obowiązek czytania takich „bogoojczyźnianych”

lektur jak „Trylogia” Sienkiewicza. Zamiast tego resort zaproponował, aby lektury obowiązkowe ograniczyć niemal całkowicie do tekstów Witolda Gombrowicza i Brunona Schulza. Ci utalentowani pisarze mogą nas nauczyć wielu rzeczy, ale żadna z nich nie wiąże się z nabywaniem cnot, o których mówi „Gorgiasz” Platona. Te przymioty, którymi Sienkiewicz obdarzył swoich bohaterów: odwaga i uczciwość, patriotyzm i umiejętność współpracy, wsiąkają niejako przez osmozę w czytelników jego powieści. Takie właśnie cnoty są fundamentem europejskiej cywilizacji. Osoby promujące rozbrat z tradycyjnymi metodami wpajania uczniom moralności i odpowiedzialności za czyny, odznaczają się, w najlepszym wypadku, dziecięcą prostotą, nieswiadomą ludzką historią.

Polskie elity winny wiedzieć z doświadczenia swoich własnych rodzin, że granica pomiędzy barbarzyństwem a cywilizacją jest słabutką i łatwo ją przekroczyć. Utrzymanie tej granicy wymaga ciągłej argumentacji na rzecz cywilizacyjnych wartości. Ta argumentacja musi być szczególnie intensywna wśród tych, którzy jeszcze nie wstąpili w dorosłość, a więc wśród nastolatków.

Cywilizacja zaczyna się tam, gdzie znaczny procent ludności (i elit) rozumie, że starożytni Grecy nie przedawnili się pisząc o tym, że bez cnot nasze działania schodzą na zbrodnicze i samobójcze manowce. Barbaria zaczyna się tam, gdzie większość społeczeństwa (włączając elitę) daje wiarę maksymie „róbta, co chceta”, bawmy się wszystkim tak długo, jak się da. Bo wreszcie, po komunizmie, jest wolność.

Polska jest dziś podzielona jak Hiszpania, gdzie dziedzictwo wojny domowej z lat 30. ubiegłego wieku wytworzyło dwa różne społeczeństwa. W Hiszpanii mówi się o rozpadzie kraju. Najbardziej produktywna ekonomicznie Katalonia ma hałaśliwą mniejszość, zabiegającą o niepodległość. Region był najbardziej skomunizowaną prowincją Hiszpanii w czasie wojny domowej. W Polsce dziedzictwo sowieckiej okupacji też grozi podziałami – pomiędzy tymi, którzy cenią rady Sokratesa, a tymi, którzy nad nimi rechoczą. Jestem jednak optymistką, między innymi dlatego, że nie ma chyba na świecie innego narodu, który byłby tak często i zdecydowanie skazywany na podziały i niebyt przez sąsiadów, światową opinię publiczną, wielkich filozofów i teoretyków europejskiej państwowości. To, że nie udało się Polski wyeliminować, powinno być źródłem specjalnej dumy i bodźcem do pracy nad sobą, jak również źródłem nadziei, że echa języka walki klas osłabną i z czasem zanikną. Ale rację miał też Hilaire Belloc:

„Siedzimy i obserwujemy Barbarzyńce, tolerujemy go. W długich okresach pokoju nie boimy się go. Bawi nas jego brak pokory w stosunku do tradycyjnych wartości, śmiejemy się do rozpuku nad jego komicznym wypatroszeniem naszych starodawnych reguł i sztywnych wierzeń. Bawimy się. Ale naszą wesołość obserwują wielkie i straszne twarze stamtąd, i na tamtych twarzach nie ma uśmiechu”. ■

—opr rafm

Autorka jest wykładowcą literatury porównawczej i slawistyki na Rice University w Houston, redaktorem naczelnym kwartalnika „Sarmatian Review”. W Polsce pisuje w „Rzeczach Wspólnych”, „Tekstach Drugich”, „Arcanach”, a w USA – w „The Washington Times”, „Slavic and East European Journal”, „Modern Age”, „Slavic Review” i „Houston Chronicle”. W Polsce ukazały się jej książki: „Trubadurzy imperium. Literatura rosyjska i kolonializm” (2002) oraz „Witold Gombrowicz” (2003).

Mój dom murem podzielony, podzielone murem schody, po jednej stronie łazienka, po drugiej stronie kuchnia...” – śpiewa Kazik Staszewski w „Arachii”, jednej z najbardziej znanych piosenek zespołu Kult. Jej tekst można było interpretować na wiele sposobów, choć, gdy już się wiedziało, że chodzi o powojenny podział Berlina, znaczenie słów „świeci neonami prawa strona, lewa strona cała wygaszona”, stawało się oczywistą oczywistością.

Mur w stolicy Niemiec obalono niewiele ponad rok po oficjalnym wydaniu płyty Kultu ze wspomnianym songiem. Jednak optymiści, którzy liczyli na łatwe połączenie kraju musieli być zawiedzeni – nawet dziś, po wpompowaniu we wschodnie landy ok. 2 bilionów euro, trudno mówić o podobnym poziomie życia w całych Niemczech. Ale najbardziej bolesnym dowodem na to, jak głębokie podziały przyniosło niemal półwieczne rozdarcie kraju, były niedawne badania, które pokazały, że tylko znikoma część mężczyzn na zachodzie Niemiec gotowa byłaby się

DOMINIK ZDORT



związać z kobietą ze wschodu. Najwyraźniej po 20 latach od zjednoczenia Niemcy nie za bardzo chcą żyć razem w jednym państwie.

Nie o Niemcach jednak tu chciałem pisać, ale o Polsce. O podzielonym na dwie części kraju, którego obywatele także przestają się wzajemnie rozumieć. Choć przez ostatnie niemal 70 lat żaden realny mur nie dzielił terytorium Polski, to społeczne podziały wydają się głębsze niż kiedykolwiek. Dwa polskie plemiona mają swoich liderów, których bezrefleksyjnie wielbią; swoje media, którym ślepo wierzą; swoje prawdy, które są głęboko sprzeczne z prawdami wyznawanymi przez drugą stronę. Napisałem: „wyznawanymi”, bo tak naprawdę to nie dwa plemiona, ale dwie religie,

które – niezależnie od faktów – nie zmieniają zdania w ważnych sprawach, bo nie dopuszcza tego ich wiara.

Coraz częściej można mieć wrażenie, że już nie łączą nas więzy krwi czy przynależność narodowa – bo nie wyciągamy z tych związków żadnych wniosków. Czerpiemy z odmiennych źródeł historycznej tradycji. Chcemy czcić tylko swoich świętych, a nie zgadzamy się, aby stawiać pomniki bohaterom naszych wrogów. Mówimy językiem, w którym coraz więcej jest słów dla tej drugiej strony niezrozumiałych albo oznaczają one w tym drugim dialekcie zupełnie coś innego...

Jak żyć w takim kraju? Niektórzy mówią wprost: z tymi ludźmi „nie sposób ułożyć sobie życia w jednym państwie”. Pół biedy, jeśli rzucają ta-

kie zdania rozgorączkowani demonstrenci lub napędzani ideologicznym paliwem publicyści. Gorzej, gdy mówią to politycy, szczególnie ci najbardziej wpływowi. Bo oni łatwo mogą ulec pokusie, aby skorzystać z siły parlamentarnej większości. Nawet niekoniecznie po to, aby skazać wroga na banicję czy usunąć trwale z życia publicznego (choć i takie pomysły się pojawiają, wszak usiłuje się uruchomić Trybunał Stanu). Ale po to, by ułożyć sobie życie w państwie tylko na własną modłę, nie biorąc pod uwagę wrażliwości tego drugiego.

W pewnym sensie tak zrobiono po zjednoczeniu w Niemczech, które przywołałem na wstępie. Zachodnia większość – choć pewne pozory zachowano – nie pytała o opinię post-

enerdowskiej mniejszości, pogardzając jej aspiracjami. Dopiero co uniezależnione od Moskwy NRD wchłonięto i narzucono mu erefenowski system, erefenowski styl życia, erefenowskie wartości.

W Polsce wygląda to podobnie, ale czasem można mieć wrażenie, że istnieje jeszcze dodatkowa motywacja dla pogardy: skoro nasz przeciwnik to chory z nienawiści oszołom, nie musimy liczyć się z jego poglądami – wręcz przeciwnie, powinniśmy jego opinie wypchnąć z życia publicznego, zdelegalizować. Wróg ogląda pewną telewizję? Ograniczmy jej zasięg. Wróg jest przeciwnikiem in vitro? Zezwólmy na in vitro. Wróg obawia się związków partnerskich? Zgodźmy się na nie. W końcu mamy większość.

Tylko, czy ten, kto ma więcej mandatów, ma zawsze rację? Czy większość parlamentarna ma prawo przegłosować wszystko, co tylko zechce, nie biorąc pod uwagę opinii mniejszości? To pytania stare jak demokracja. A historia naucza, iż temu, kto udziela na nie twierdzącej odpowiedzi, demokratyczne metody sprawowania władzy szybko przestają wystarczać. ■